

# Film

Maciej Stryjecki

Ludzie są podejrzliwi. Cokolwiek przeczytają w mediach, zawsze gdzieś tam głęboko tkwi przeświadczenie, że coś im się chce sprzedać. Często to nieprawda, ale tym razem przyznaję: chcę Wam bezczelnie coś wkitować. To film.

**A**ni on głęboki, ani przełomowy. Ot, znajduję go jako przedstawiciela „amerykańskiego nurtu familijnego”, co to niesie ze sobą konserwatywne przesłanie, protestancki etos pracy i wznoszący niezłomnego ducha morał. Jakby był wyciągnięty z epoki, kiedy panowie palili fajkę, a panie pichciły pieczeń na sobotni obiad. Nawet się dałem na to nabrać, bo początkowe ujęcia nie wskazują na konkretne czasy. Obstawiałem te odległe, a tu – młodzież ma smartfony. Zgadza się, nie patrzyłem na samochody, architekturę i inne takie. Dlaczego?

Bo od początku się wciągnąłem.

Film ten obejrżeli gromadnie muzycy. Polecali sobie nawzajem, szli do kina wycieczkami. Leciał na imprezach obficie zakrapianych i zadymianych. Oglądali go głównie ci rozrywkowi, bo klasyczni klepią w klawiaturę, ciągną smyka godzinami, a jak im zostanie trochę czasu, to się przejmują, co będzie dalej i czy nie założyć biura nieruchomości. Wszyscy mają wspólny „podzbiór”. Wspomnienie z młodości i jednocześnie projekcję przyszłości – ćwiczenie. Czynność z jednej strony idiotyczną i zniechęcającą, z drugiej – niezbędną. A w tle – walkę o pozycję w stadzie. Jedno się z drugim wiąże, jedno z drugiego wynika.

Każdy muzyk się z tym filmem utożsamia. I tu leży jego słodycz. W goryczy pracy, układów (nie w naszym ujęciu), porażki, wstydu i panicznego strachu (zwanego tremą), ale też w obietnicy tego jednego koncertu, kiedy cały świat kłęczący, a już zwłaszcza koledzy,

profesorowie, rodzina i wszyscy winni wymienionych goryczy. A potem wielkiej – wielkiej kariery i wpisu na karty historii. Jakby z pierwszą nie wyszło, wystarczy to drugie. To tkwi głęboko w mózgu, zasiane przez nocne rozmowy kolegów, płyty, książki, nauczycieli i „wogle” (wogle to takie narciarskie gogle). Projekcja marzeń spotyka się w finale z orgazmem albo nirwaną, co kto sobie wina. Solówką jak wybuch supernowej. Trzeba przyznać, że zakończoną w wyjątkowo smacznie dobranym momencie. Do tego stopnia, że ogląda się aż do końca napisów, do loga Technicoloru. Muzyka zwycięża, pokonuje ludzkie słabości, lęki, perfidie, małostkowość i paskudne czyny. Olśniewa swoim blaskiem, a w nim pławi się główny bohater, na szczęście bez powiewającej flagi w tle.

Wiele scen jest przesadzonych, jak choćby krwawiące dłonie. Postacie są przerysowane, a fabuła prosta jak promień lasera. Dlatego „pozamuzycy” ten film odbiorą raczej obojętnie. Zauważą świetną ścieżkę dźwiękową i jakość dźwięku (polecam oglądanie w systemie TV+stereo); ci oblatani docenią dobre granie, ale będzie im przeszkadzać „familijność” i, w pewnym sensie, płycizna. Muzycy jednak poszli do kina z innych powodów.

Odnoszę wrażenie, że ten film reżyserował/produkował muzyk. Bo każdy muzyk właśnie czuje się w nim swojsko. Tak właśnie wyglądają „zajęcia z orkiestry”. Choć ważniejsze są niby te indywidualne, to akurat tutaj chodzi o pracę w bandzie. Pokazana jest, oczy-

wicie z przesadą, perfidna rywalizacja. Lepiej chyba być żołnierzem, bo koledzy za plecami osłaniają przyjaznym ogniem, a tu... Tylko splunąć. Pedagog wcale nie jest groteskowy, wbrew rzeczywistości. Z podobnymi się spotkałem, chociaż nie tak ideowymi i szlachetnymi w intencjach, bo to w życiu rzadko.

Druga sprawa – ludzie grają, czyli jest realizm na planie. Nie trzymają smyczka i trąbki w drewnianych rękach, co budzi większe obrzydzenie niż nieudany występ kaskadera.

I trzecia rzecz – dialogi. Tak się rozmawia na próbach, lekcjach, przed koncertem, po nim i przy drinku. Ktoś to złowił, oprawił, ugotował i podał. Bez przyprawiania.

Cieszy mnie, że robi się jeszcze takie rzeczy, a martwi, że środowiska uznają je za wybitne. To mi przypomina czasy, kiedy w wojennych filmach Niemcy mówili po niemiecku, a Włosi po włosku. Tak zwany realizm. Teraz wszyscy muszą wszystko rozumieć, a do tradycji odnoszą się jedynie reżyserzy, którzy wiedzą, że z racji z góry założonej „artystyczności” dostaną pochwałę od krytyków i dzięki temu sprzedanych biletów nie ubędzie. Do tego trzeba mieć nazwisko.

Tymczasem w liście płac nie zobaczyłem aż tak mocnej familii. Jednak muzycy poszli i będą ten film oglądać przez wiele lat. Przejdzie do kanonu w wąskim środowisku.

Przyznam, że te wszystkie mankamenty dostrzegłem, ale już po zastanowieniu. Wcześniej słuchałem jazzu w doskonałej interpretacji i realizacji. Wciągnęła mnie fabuła, utożsamiałem się z głównym bohaterem, a na koniec wytarłem ukradkiem tłustą i obfitą łzę. Poczuję się lepiej, Daleko lepiej. Uwierzyłem w Człowieka, tak jak powinienem po każdej dobrej projekcji kina familijnego. I się tego wcale nie wstydzę.

O jaki film chodziło?

**m.stryjecki@hfm.pl**

W tytule maila życzenia zdrowia, bo jego nigdy zbyt wiele.

W treści tytuł.

Pierwsze trzy osoby dostaną darmową prenumeratę „Hi-Fi i Muzyki” na rok. Nie dlatego, że mają refleks, ale prozaicznie. Chciałbym im przybić piątkę.